

Krośnieńska Biblioteka
Publiczna

*Krośnieńskie
zeszyty
biblioteczne*

Nr specjalny Krosno 2010



Krośnieński Konkurs Literacki
XI edycja

Zarażeni literaturą

Paulo Coelho w „Czarownicy z Portobello” napisał:

Pisanie nie polega jedynie na wyrażaniu myśli, to także głęboka zaduma nad wymową każdego słowa.

Sądzę, że tę świadomość mieli laureaci nagród XI edycji Krośnieńskiego Konkursu Literackiego. Słowo pisane jest dla nich źródłem wyrażania siebie i świata. Utwory trafiają do wrażliwości, budzą wyobraźnię czytelnika. Myślę, że są ważnym głosem młodego pokolenia.

Na konkurs napłynęły utwory o miłości, przyjaźni i przemijaniu. W swoich utworach młodzi twórcy pytali o sens istnienia, wyrażali lęk przed przyszłością.

W tegorocznej edycji Konkursu wzięło udział 100 młodych twórców z południowej Polski. 167. prac podzielonych na dwie kategorie: poezję i prozę oceniło jury w składzie: Leszek Żuliński – krytyk literacki, poeta, publicysta, felietonista, laureat licznych nagród w dziedzinie literatury, Anna Pelc – polonistka, literaturoznawca, wykładowca w PSKAKiB w Krośnie, Bogusława Bęben – Z-ca Dyrektora Krośnieńskiej Biblioteki Publicznej.

Jury postanowiło nagrodzić autorów najbardziej interesujących prac, pięknych literacko, napisanych z polotem, świadczących o żywej wyobraźni. Doceniło pomysł literacki, ciekawe ujęcie tematu i emanującą z pracy autentyczną fascynację słowem.

Jury pragnie podkreślić powiększający się zasięg konkursu i rozmach poetyckich inspiracji, które zaskakiwały różnorodnością i uporczywością twórczych poszukiwań. Wyraża też nadzieję, że następne edycje tego święta słowa staną się sceną równie licznych i interesujących prezentacji. Wszystkim młodym życzy literackich spełnień.

Po raz kolejny

*Udało nam się
Zabrać w tę podróż ludzi.
Składamy ręce dziękujemy.
I zarażamy ich natychmiast.*

(W. Bronowicz „Występek”)

Bogusława Bęben

LAUREACI
XI EDYCJI KROŚNIEŃSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO

Kategoria:	Proza
Gabriela Izowit	I nagroda
Katarzyna Szepelak	II nagroda
Joanna Hanus	III nagroda
Monika Masaj	Wyróżnienie
Hana Matejek-Khoury	Wyróżnienie
Szymon Barabasz	Wyróżnienie
Aleksandra Jędrzejczyk	Wyróżnienie
Kategoria:	Poezja
Mateusz Urban	I nagroda
Karolina Kargol	II nagroda
Jan Kluza	III nagroda
Aleksandra Kubit	Wyróżnienie
Magdalena Bury	Wyróżnienie
Patrycja Norek	Wyróżnienie
Natalia Janik	Wyróżnienie
Justyna Pruchnicka	Nagroda ZO Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Krośnie
Katarzyna Szarek	Nagroda Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krośnieńskiej

Nagrody Starosty Powiatu Krośnieńskiego

Gabriela Izowit

Szymon Barabasz

Jan Kluza

Aleksandra Kubit

Natalia Janik

Katarzyna Szarek

Niezwykła przyjaźń

Wyszłam na dwór i przeciągnęłam się z rozkoszą. „To będzie piękny dzień” – pomyślałam. Nie wiem dlaczego, ale wtedy tak właśnie myślałam, wiedziałam to od razu. Słońko pięknie świeciło, w powietrzu unosił się zapach trawy. Mmm... Wciągnęłam mocno powietrze w płuca. Uwielbiam ten poranny, rześki zapach, przesycony wilgocią rosy. Mogłabym tak stać jeszcze długo, ale przypomniałam sobie, po co tak naprawdę wyszłam – obowiązki wzywają. Dostałam bezdyskusyjne polecenie od mamy:

– „Dziś za zadanie masz wypielenie pomidorów pod folią!”

No cóż, ona rządzi. Co będę oponować – jeszcze nie dostanę obiadu, a dziś są naleśniki (uwielbiam naleśniki!). Dlatego lepiej już pójdę pod tę folię i wypiele te pomidory...

Idąc niechętnie, nie mogłam nadziwić się wcześniejszym myślom, że niby to ma być piękny dzień... Czy piękny dzień zacząłby się od pracy? Teraz najchętniej poleżałabym sobie w tej ciepłutkiej trawie i jeszcze chwilę porozkoszowała lenistwem. Myśląc tak, ciągle nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że dziś spotka mnie coś ciekawego.

Pod folią było nieco duszno i trochę wilgotno. Nachyliłam się, by wyrwać pierwszą kępę chwastów, gdy nagle coś z nich wyskoczyło, uderzając mnie lekko o policzek. Spadłam do tyłu oszołomiona tym nagłym zrywem i wystraszona jednocześnie. Szybko zerwałam się na równe nogi, gotowa poruścić nimi jak najszybciej w stronę wyjścia. Ale ciekawość wzięła górę nad strachem. Obróciłam się i zobaczyłam to monstrum z kłami ociekającymi krwią (ha ha, taki wizerunek wykreował mój strach), bo tak naprawdę to był mały ptak. Wpadł biedaczysko do tunelu przez uchylone okno i nijak nie mógł się z niego wydostać. Rzuciłam się na niego, ale nie aby z nim walczyć, lecz żeby złapać i wypuścić na zewnątrz. Nie było łatwo, biegałam po tunelu, to w lewo, to w prawo, raz podskakując, raz kucając. Długo to trwało, ale osiągnęłam sukces – miałam ptaszka w garści! Na lekko zaciśniętej dłoni czułam bicie serca tego maleńkiego stworzonka. „Nie bój się” – szepnęłam. – „Zaraz cię wypuszczę i będziesz wolny. Tylko nie zapomnij wrócić i podziękować mi, bo pomyślę, że jesteś niewdzięcznikiem!” Odleciał i szybko znikł mi z oczu. A ja? No cóż, odwróciłam się gotowa zabrać się do dalszego pielienia grządek. Moim

oczom ukazał się dziwny widok. Nie było już czego pilić, w ogóle niczego nie było! Hmm... mama chyba nie uwierzy, że to zrobił ptak? Nie, na pewno nie uwierzy, zwłaszcza, że na rozdeptanych pomidorach są odciski moich butów. Ściema o ptaku w butach też nie przejdzie, ale z historią o bohaterskim ratunku małego stworzonka może się udać.

Nie udało się! Ale naleśniki zjadłam. Były pyszne. Tego dnia miałam szlaban do wieczora – werdykt brzmiał:

– „Zakaz wychodzenia ze swojego pokoju!” – przeżyję, zwłaszcza, że dzień się kończył.

Na drugi dzień wyszłam na dwór, by tak, jak dnia wcześniejszego poczuć ten ujmujący zapach poranka. Stałam chwilę i właśnie miałam wracać do domu, gdy wtem na gałęzi pobliskiego drzewa coś zaświergotało. To był ptak, którego dzień wcześniej uratowałam, a przynajmniej wyglądał tak samo. „Ale nie...” – pomyślałam sobie. – „To niemożliwe, to tylko zbieg okoliczności...” Ale moją uwagę przykuł dziwnym kiwaniem się w moją stronę, tak jakby chciał zwrócić na siebie moją uwagę. Zignorowałam to, śmiejąc się pod nosem, myśląc sobie, czego to wyobraźnia ludzka nie wymyśli. Odwróciłam się i wróciłam do domu, podeszłam do okna, by je otworzyć, chciałam wypuścić trochę tego przyjemnego, świeżego powietrza do mojego pokoju. Śpiewając wesoło, stałam jeszcze chwilę w oknie, gdy w tym momencie na rogu dachu mojego domu usiadł ptak – ale nie jakiś ptak, to był TEN ptak i to nie był zbieg okoliczności. Czyżby przyfrunął tu za dźwiękiem mojego głosu? Może to głupie, ale postanowiłam to sprawdzić. Czym prędzej pobiegłam na drugą stronę domu, otwierałam okno i kilka razy zagwizdałam – przyleciał i usiadł w pobliżu. To zdecydowanie nie był zbieg okoliczności! Postanowiłam sprawdzić to kolejny raz, aby utwierdzić się w moim przekonaniu, bo jeśli ten ptak przylatuje na dźwięk mojego głosu, to może przyleci jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz – no to sobie pobiegamy. Wybiegłam na dwór i oddaliłam się od domu o około sto metrów. Zagwizdałam – zgadnienie? Przyleciał – przylatywał za każdym razem.

Kolejnego dnia również przyleciał, gdy tylko mnie usłyszał. Od tej pory nazywałam go moim małym przyjacielem. Byłam szczęśliwa i dumna z tej przyjaźni, ale jak każdy, słaby człowiek, pragnący poklasku innych nie chciałam tego trzymać dla siebie, chciałam się pochwalić, ale kto mi uwierzy? Przecież ptaki mają ptasie mózdzki, co samo przez się wyklucza fakt, iż ptak tan po prostu wrócił do mnie z podziękowaniem tak, jak go o to prosiłam, gdy grzał mi dłoń swoim ciałem.

Nie wytrzymałam, musiałam to komuś powiedzieć. Na powiernicę tej tajemnicy wybrałam moja przyjaciółkę. Z błyszczącymi oczyma i bijącym z emocji sercem jednym duszkiem wylewałam z siebie tę fantastyczną historię. Gdy skończyłam, czekałam na komentarz mojej przyjaciółki. Anka wstała i wykrzyknęła:

– Baśka, czyś ty zgłupiała?! Po pięciu latach nienagannej przyjaźni i obustronnego zaufania ty mi taki kit wciskasz?

– Aniu, uwierz mi, to żaden kit!

– Baśka, przestań! Zaraz mi powiesz, że będzie tak długo przylatywał, aż nie nauczy się mówić „dziękuję”. Bo przecież ma ci podziękować, no nie?

– Wiesz co, Anka? Przynajmniej starałabyś się mi wierzyć, zwłaszcza, że nigdy nie dałam ci podstaw, byś uważała mnie za łgarę.

– Jak mam ci uwierzyć, skoro mnie się to nawet w głowie nie mieści? Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Nie?! To trzymaj się mocno, bo tobie się to zdarzy i to moja skromna osoba się do tego przyczyni.

Otworzyłam okno i zagwizdałam dwa razy. Nie musiałyśmy długo czekać – zjawił się niemal od razu i swym charakterystycznym kiwaniem się w przód i w tył zdawał się mnie witać.

– Zbieg okoliczności, co Anka? To wyjdźmy na dwór.

Tam zagwizdałam ponownie, przyleciał i usiadł w pobliżu, znów powitał mnie kiwając się. Powtórzyłam to kilka razy, w różnych miejscach. Za każdym razem efekt był ten sam – tylko Anka coraz szerzej otwierała buzię i coraz głośniejsze popiskiwała ze zdumienia.

– A teraz mi wierzysz?

– Baśka, ja ciebie przepraszam, to jest po prostu niesamowite, gdybym nie przekonała się na własne oczy, w życiu bym ci nie uwierzyła.

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie. Czy teraz mi wierzysz?

– Wierzę ci, wierzę. Tylko zawołaj go jeszcze raz. Jestem nim zauroczona.

Od tej pory mój mały przyjaciel przylatywał za każdym razem, gdy tylko usłyszał mój głos, przysiadał w pobliżu, charakterystycznie kiwając się. Zaczęłam z nim nawet rozmawiać dialogiem jednostronnym, upewniając się wcześniej, że nikogo nie ma w okolicy. Jeszcze pomyśleliby, że ze mną coś nie tak. Zawsze mogłabym się wytłumaczyć, że rozmawiam ze swoim kumplem – ptakiem, który przylatuje codziennie wdzięczny za to, że uratowałam mu życie, ale jak myślicie, uwierzyliby? Tak czy inaczej, wolałam nie ryzykować.

Minęło lato, przyszła jesień, robiło się coraz zimniej, coraz częściej siępił deszcz... Od kilku dni nie wschodziłam na dwór, pogoda była zbyt brzydka. Gdy wreszcie się rozpogodziło, wybiegłam, by przywitać się z przyjacielem –

trochę się stęskniłam. Wołałam, gwizdałam, ale nie przyleciał. Pomyślałam, że widocznie nie ma go w pobliżu. W ciągu dnia wychodziłam jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem nie przylatywał. Tę czynność powtarzałam regularnie jeszcze przez kilka dni. Do momentu, gdy na niebie zobaczyłam klucz dzikich kaczek odlatujących na zimę do ciepłych krajów. „Jaka jestem głupiutka” – pomyślałam sobie. – „Przecież mój mały przyjaciel również musiał odlecieć...” Miałam tylko nadzieję, że w przyszłym roku powróci tu na wiosnę. Nie powrócił, już nigdy go nie zobaczyłam, ale pozostały mi piękne wspomnienia i duma, że to właśnie ja miałam tak niezwykłego przyjaciela.

II nagroda w kategorii: Proza

Katarzyna Szepelak

I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno

Z drogi

Miasto

Około siódmej wieczorem świat zalany był mlekiem. Jego gęsta cisza i spokój otulały łagodnie ulice i drzewa, mleko rozlało się jednolicie i nie przestawało emanować niezemskim spokojem. Ludzie stawali się senni i odprężeni. Ostre promienie słońca, pokonane, miękko rozpraszały się w wszechobecnym mlecznym łądzie. Około ósmej z minutami, ze wschodu na zachód, kierując się bardziej ku południowi, popłynęła złocista fala, którą przyrównać można było jedynie do kropli miodu. Wszędzie, gdzie docierała, powietrze stawało się nieznośnie duszne i odurzająco słodkie. Ludzie upajali się tą chwilą, kiedy wirowały jeszcze nad ich głowami złote drobiny, pył opadał kolistnie i osiadał na włosach i oczach. Dzieci łapały go, jak się łapie motyle. Dorośli patrzyli na to ze zdziwieniem oczu, przed którymi wiruje świat.

A o dziewiątej z nieba spadł deszcz migdałów i orzechów w cukrze.

Zmierzch przychodzi gładko, kładąc się na dachach, jak leniwy, bury kot. Czasem jest nagrzwany słońcem, pachnie słodką trawą. Kiedy budynki, szare bryły, układają się do snu, w ich zmrużonych okiennicach lśni różowy blask ostatniego tego dnia słońca. Ale są dni, kiedy mgła nadlatuje do miasta puszystą falą. Miasto wita ją z oddaniem, kiedy ona bierze je w swoje białe ramiona i kołysze do snu. Budynki zamykają oczy i śpią jak dzieci, których sny śnią. Czasem we mgle przemyka cień kota z podniesionym jak znak zapytania ogonem. Miasto oddaje swoje sny na osobną opowieść i ginie w niepamięci. Jest godzina nad ranem, kiedy żadna historia się nie toczy. Czas także śpi.

Kiedy przychodzi świt, księżyc ciągle jeszcze przypomina o nocy, która minęła. Świt jest szarą godziną. Szarą i zimną. Wtedy świat rozdziela się na dwie części. Jedną, która pozostaje, drugą, która odchodzi. Jeszcze przez chwilę noc i dzień patrzą na siebie ze zdziwieniem. Dwie zupełnie różne siostry. Tak różne, że nie sposób nie uznać ich pokrewieństwa. Świt to godzina i czas przejścia. To, co może zdarzyć się tylko świtem, zdarza się jeszcze czasem zmierzchem. Za dnia duchy świtu są zwykłymi śmieciami porzuconymi przez turystów albo starymi, schorowanymi psami. Świt wyostrza to, co chce pokazać, ale zaciera te miejsca, o których wolałby nie pamiętać. Nie w ten sposób. Świt jest jak osob-

na istota. W mieście jest małym, bladym chłopcem w berecie. Czasem można go spotkać opartego o mur. Drwi sobie ze wszystkich spojrzeniem spod opadających na czoło włosów.

Góry

Pewnego dnia ona zostanie w górach. Czuje, jak się o nią dopominają, w przerażającej pustce, samotności ciszy, która rozpina się między jedną a drugą gałęzią sosny w zimie. Która spływa białością wprost pod jej stopy. Ta pustka jest tak zimna, jak śnieg.

Otwiera okno i chłonie zimowe powietrze, które szorstko gładzi ją po twarzy, wiatr wieje ze strony gór i przynosi zapach żywicy. Zima jest ostra, jak nigdy, nocą gwiazdy przenikają okna i kładą się na czarnej posadzce w kuchni. Rano wstaje i wylawia je ze zlewu, srebrne rybki. Wrzuca do strumienia, który płynie z gór i patrzy na szczyt z obawą. Jeśli jest we mgle, noc będzie straszna.

Tego dnia szczyt jest we mgle. Wieczorem ona kroci czarny chleb, a góry przypatrują się jej ruchom. Ręce drżą. Przez uchylone okno wpada mróz. Zima jest bardzo ostra, tym razem dziwi się, że nie zostało śladów na skórze od nagłego z nią zetknięcia. Zamyka okiennice jak najszczelniej. Kiedy mgła dochodzi do miasteczka, jest ten moment, którego obawia się najbardziej. Noce, kiedy mgła powoli sunie ulicami, są dziwne i niepokojące. Mgła nie ma żadnego wyjaśnienia, nie takiego, które można by zrozumieć na zamglonej ulicy o czwartej nad ranem. A o tej porze musi wyruszyć, żeby zdążyć na autobus. Latarnie rozbijają świat na mniejsze części, miękkim blaskiem barwiąc zamazane kształty wokół. Nie ma przechodniów, raczej postacie z innych światów błądzą w letargu, mijają się bez słowa. Czasem słyszy za sobą czyjś pijany śmiech i przyspiesza, otulając się kurtką.

Pewnego dnia góry się o nią upomną. Czuje przynależność do ich cichości, złowieszczego spokoju. Czasem się poddaje, kiedy z grupą znajomych przemierza górskie szlaki, może to już po raz setny, zostaje zawsze ostatnia. Czasem czuje, jakby nie było już niczego więcej. Zapomina świat, który jest gdzieś indziej. Gałęzie wyciągają po nią swoje ręce, ale zawsze otrząsa się, słysząc wołanie zaniepokojonych przyjaciół.

A jednak, za każdym razem jest coraz bliżej zostania w górach.

Chociaż tak się ich boi i tak ich nienawidzi. Jest też coś poza tym. Spokój. Pulsujący pod skórą, wieloletni spokój, który tkwi gdzieś w głębi, kiedyś nawet wie, że jeszcze kilka kroków w głębokim śniegu, wystarczy przejść pomiędzy drzewami, nogi same znajdą drogę. Czasem, wie, zamyka oczy, zapada się

w śnieg i nagle jest on głębszy niż powinien, im dalej tym głębszy, ale jednak widzi, jak zielone są drzewa, czuje jak zimny zachodni wiatr... zamyka oczy jeszcze raz na chwilę i nagle zaczyna prosić, by ta chwila była wystarczająco długa.

Można zniknąć, można siebie stracić, nie ma ceny za zostanie w górach, bo to było od zawsze przesądzone.

Tamtejsi ludzie powiedzą.

Dolina

Niebo pękło wzdłuż rysy, podobnej do tych na szkle. Pękło cicho i miękko. Przez szczelinę sypać zaczęły się na ziemię martwe gwiazdy o popodcinanych skrzydłach. Popielaly, zanim jeszcze dotykały czubków ich głów, tak, że wszyscy przysypani popiołem patrzyli na siebie ze zdziwieniem.

Czyjaś samotność brzęczała w powietrzu napelniając je coraz to nowymi tonami, głębokimi i nudnymi jak wnętrze oceanu. Nie padał deszcz, niebo wyschłe i jałowe jak studnia, witało tylko smutkiem.

To był czas Weroniki. Wychodziła popatrzeć. Ażurowe liście drzew nie ograniczały widzenia zmęczonym oczom. Stawała na ganku. W miejscu, kiedy kończył się dom, a zaczynał świat, albo na odwrót. Zagarniała rzesami zimne powietrze. Szeroko otwierała oczy i chłoneła nieruchomość świata zastygłego na tą nieskończenie długą chwilę.

To był czas Joanny. Zamykała drzwi i otwierała okna na oścież, wiatr wymywał z domu wspomnienia, fale jego przyływu znaczyły jej dni. Dom pustoszał i stawał się coraz bardziej jałowy, a Joanna mimo zimna nie zamykała okien. Rześkie zapachy ziół i kwiatów, nawleczone na żyłkę, powieszono zostały na drzewach w lesie. W nocy czasem nieświadomie szeroko otwierała oczy i siała wyprostowana na łóżku, ale wiatr był zbyt ulotny, żeby dać oparcie.

To był czas Piotra. Wpatrywał się w horyzont po świt i nic nie mówił. Szepty duchów świtania budziły go z letargu. Pracował do krwawego wieczoru, kiedy szare, nieruchome niebo drażniło solą otarcia na jego rękach. Zasypiał na niespokojne godziny i wychodził patrzeć na ogniki.

Powietrze było niezdrowe. Niosło chorobę i zgniliznę. To nie był czas. Ostra fala przeszła drżąca gorączką i dreszczem, rozmyła się i została w dolinie. Niebo sypało umarłymi ptakami, nie deszczem.

Joanna Hanus

III nagroda w kategorii: Proza

I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno

Jesienne lato

„Może lepiej by było,
kto by to ocenił,
gdybym rzucił to wszystko,
miejsce bycia zmienił”

(Grzegorz Turnau „Tutaj jestem”)

Czy masz czasem wrażenie, że wszystkie twoje decyzje są niewłaściwe? Tak, jakby wyczerpał się jakiś limit szczęścia. A może to tylko strach zniekształca obraz wspomnień? Jesień też temu nie sprzyja. Wiatr zmian wieje wciąż z niezmienioną siłą. A ile zmian może zaakceptować człowiek w ciągu jednego roku?

Lato pachnie poziomkami. Lato to słońce i oczekiwanie. To promienie drażniące komórki czasu i nadzieja dotycząca każdej sfery istnienia.

Lato to czas zmian. Lato to leniwy uśmiech losu i przystanek na drodze marzeń. Latem poziomki mieszają się z kroplami deszczu.

Lato to bliskość. Smak czerwonej słodyczy na ustach i ciepłe wieczory, podczas których można dotknąć gwiazd.

Lato to dystans. To czekanie rozleniwione słodko-kwaśnym ciepłem dnia. To odległość, której nie określa długość torów kolejowych.

Latem nosiłaś duże, ciemne okulary i krótkie sukienki. Śmiałaś się od słońca i ze słońcem. Tańczyłaś, uciekając przed pierwszymi kroplami letniej burzy i gubiłaś kawałki wszechobecnej radości. Myślałaś o nim, marzyłaś o nim i szukałaś w tłumie jego twarzy.

Latem bałeś się każdej chwili, którą miałeś spędzić bez niej. Te chwile składały się na twoje długie, ciężkie od upału czekanie. Odchodziłeś i wracałeś. Myślałeś o niej i robiłeś to dla niej. Raniłeś ją ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku.

Latem byłaś przepelniona nadzieją. Łatałaś rany swoich emocji znalezionymi kawałkami szczęścia. Zapominałaś, słuchając oddechu ziemi i uderzając ją bezlitośnie swoimi stopami. Nie bałaś się. Odłamki optymizmu wbiły się w twoje myśli.

Latem wierzyłeś, że intuicja nie kłamie. Ufałeś, bo tylko ufać można, kiedy nadzieja zaczyna tonąć w oceanie wątpliwości. Wierzyłeś, że ogień może być lekiem na poparzenia i że jeżeli bardzo się chce, to można go zamrozić. Ona uczyła cię, że emocje są po to, by je kontrolować. Ona to, co czułeś, umiała kontrolować doskonale.

Latem myślałaś, że możesz go zmienić. Twierdziłaś, że wystarczy się postarać, by zostać ideałem. Nie wiedziałaś tylko, kto powinien nim zostać. Ty? Czy on?

Latem bałeś się podjąć decyzje. Lato nie jest dobre do podejmowania poważnych decyzji.

Latem oczekiwałaś słów. Tych wielkich i tych małych. Lato nie lubi słów.

Lato to leniwy czas burz.

Latem burza może zacząć się od jednego uśmiechu i jednego „cześć” rzuconego mimochodem. Latem każdy podjęty krok wydaje się, w ostrych promieniach słońca, dobrą decyzją. Lato lubi spontaniczne decyzje i wibrujący śmiech. Lato jest przesycone niepewnością i spojrzzeniami zmrużonych oczu. Świat, oglądany zza przymkniętych powiek, zawsze wydaje się piękniejszy.

Duże ciemne okulary dawały ci złudne wrażenie anonimowości i pewności siebie. Dlaczego myślałaś, że tak będzie zawsze? Dlaczego schowałaś je ze słowami „za rok...”? Czy złudna nadzieja jest lepsze od braku nadziei?

Kiedy przyszła jesień, zrozumiałaś, że miłość to coś więcej niż słodkie pocałunki słońca i czerwień poziomek na palcach. Przestraszyłeś się odpowiedzialności i szarości jesieni. Nie chciałeś jej tracić i nie chciałeś tracić siebie. Intuicja biła się z instynktem. Powietrze dziwnie Ci ciążyło. Kto powiedział, że nieznane będzie trudne?

Zawsze wierzyłaś, że elastyczność to zaleta. Tym razem też się dostosowałaś. Zaciśnęłaś zęby wierząc, że tak będzie lepiej. Najlepiej. Miałaś rację. Znowu. Niestety.

Słowa „odwaga” i „szczerłość” zawsze źle ci się kojarzyły. Wiedziałaś, że musisz to zrobić i buntowałaś się każdą komórką ciała. Przemóc się, by móc spojrzeć sobie w oczy bez lęku. A jak spojrzeć w jej oczy?

Jesień jest zmienna. Rozpieszcza złotem i purpurą. Łaskocze ciepłem i wiatrem. Oczyszcza szarością deszczu, by kolory mogły na nowo zawirować w powietrzu przesyconym zapachem liści. Oczyszczenie jest potrzebne, gdy kolory zaczynają się ze sobą mieszać. Powstaje szarość. Oczyszczająca szarość?

Jeżeli wtedy, tamta decyzja byłaby inna, życie mogłoby potoczyć się zupełnie odmiennym torem. W każdym wyborze ukryty jest cel, bo każdy podświadomie dąży do szczęścia. Czas przeinacza oceny. Korzyści i straty splatają się w nieskończoną alfa helisę życia.

Mateusz Urban

I nagroda w kategorii: Poezja

*Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II Sióstr Prezenteł
Rzeszów*

List lekko naderwany

drogi przyjacielu
wiem dawno nie pisałem wiele się zmieniło
u nas

w sumie to już nie można nic napisać
nawet gazety dopadła cenzura (przecież wszystko musi być poprawne)

nie źle mnie zrozumiałeś oni to
drukują ale nikt tego nie czyta
jedyne słuszne punkty widzenia zostały zapisane na wyższych szczeblach
(przecież trzeba być obiektywnym)

ale to dopiero początek bo myśleć po swojemu
to u nas komfort na który decydują się
nieliczni ale i tych niedługo zabraknie

romantyków to już grzebią pod płotem
tłumaczą nam żeby nie krzyczeli już że
życie piękne człowiek wolny Bóg wielki
(ich myśli grzecznie leżą pod warstwą piachu)

przestaliśmy mówić do siebie dyskutować o sprawach kluczowych
słuchać kogoś dzisiaj to niegodne człowieka
postępu modernizacji lepszego jutra

teraz mówię ciszej (jeszcze ktoś usłyszy)
krzyk stał się bratem czerwonych oczu wielkiego brzucha
pilota do telewizora
brakuje jeszcze popiersia Stalina dumnie preżącego pierś

nawet noce są takie niespokojne
(jutro się wszystko może zmienić przecież)

tu już nawet nie ma nad czym stać
odwrócić wzrok też nie bardzo wszędzie koniec świata

kończę przyjacielu idę łowić resztki ciepłej ziemi
może w końcu ktoś spojrzy mi w oczy

Widziałem siebie (w lustrze)

Benjaminowi Bukowskiemu

I

widziałem siebie w lustrze
nic wielkiego poza
podkrążonymi oczami

włosy
trochę gęstsze niż zwykle
ramiona wycofane
delikatnie

czas minął
niepostrzeżenie
zostawił po sobie
stępną duszę

suche koryta
rzek na
dłoniach

to od dźwigania
przeznaczenia

jaskrawe kontury myśli
uśmiecham się
tyle jeszcze życia
po co
definiować myśli

II

wypinam do przodu
historię mojego
życia

duma tylko piszczy
na wpół udaną
ironią

ale
gardło kiedyś
umiało przecież być
dumnie brzmieć

teraz tylko czas
może słońce
już nie zmartwychwstanie

III

widziałem się w lustrze
stałem
mój bezruch stał się
prawie
doskonały

wtedy
coś mnie popchnęło
może to życie
bezzadnie uciekające gdzieś
pomiędzy
palcami

może to wiatr
taki co się da
łapać
przeleciał cicho
prawie bezszelestnie

może to Bóg
powiedział
popatrz ty

na siebie

Karolina Kargol

II nagroda w kategorii: Poezja

*Zespół Szkół Ogólnokształcących
Biłgoraj*

Statyw bez nogi

odnalazłam siebie
gdzieś między zawirowaniem czarnego grafitu
i świeżym zapachem celulozy
gdzieś pomiędzy świtem i zmierzchem
pomiędzy neonem a ogniskiem
trampkiem i szprychą
telefonem który milczy bo pierwszy milczał
Twardowskim w trawie
i Mickiewiczem na dachu
kieliszkiem i kubkiem ze stokrotką

i jak tu odnaleźć siebie
w szufladzie XXI wieku który zaszufladkowany
nie tam gdzie powinien
między celofanem i megafonem
innowacją a demokracją
ważką i helikopterem
słowikiem i metalem

między słojami pachnącymi lasem
a włóknem węglowym

odnalazłam siebie
chyba tylko na chwilę
mrugnięcie
kroplę
krok

Studnia

wyjęci z podświadomości
spłeceni niepewnością
ciasno
niepewni czy będzie można zawrócić
czy górka nie jest zbyt stroma
i czy nie za krótkie nóżki
jesteśmy za starzy by turlać się
po kołczastym dywanie piór biało gołębich
nagie kikuty skrzydeł
gdyby równoległe wtedy i teraz
tak byśmy chcieli
kołowrotkiem zdarzeń zakręcić w drugą stronę
by można było potem wypuścić go z ręki
i zabawiać się skrzypieniem starych desek
połykaniem wiadra z łoskotem
by można było
zaufać
przeskoczyć
i być już w kropce nad
kubkiem herbaty wieczorem
pod jednym żyrandolem

Jan Kluz

III nagroda w kategorii: Poezja

*I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno*

Kochanie

Wyścig po sztylet Marata
z Davidem
po piersiach ciał
i dalej kursach nieszczęśliwych,
opuszki palców dziwne
gubią stalowe zęby
i dalej bieżą po ziarenka do klepsydry,
wódki mechanicznie walczą kroplami w kieliszku
i dalej, dalej, w krtani przewalają historią dzieci,
wyścig pocałunków od kolan po szyję
zmienia wszystko...

Wstęp do rozbioru

Ogródki nadziei czują się świetnie
na przestworzach miasta,
ich ciała roślinnych komórek szykują się na pomoc ludziom,
zaprowadzą tekturowy pokój na ścianach

Zawsze czujne niesprawiedliwie oceniają zakręty jesieni
i powywracane pierwiosnki religii,
wstawiają nowe cuda w archipelag przypadków,
wskroś wypadłych liter ze żwirowanego tekstu, piasku.

Ogródki przestrzeni uciekają przed zachodami słońca
na wschodni brzeg bloków,
kursują do innych czasów,
tworzą metroseksualny pociąg.

Demencja

Dookoła tylko rdzawe kominy, które mogłyby się rozsypać przy najbliższym podmuchu wiatru. Spustoszyła wszystko od najmniejszych gwoździ po ogromne szkielety drapaczy chmur. Teraz trawi moje myśli. Nie wiem, skąd się tu wzięłam i jak długo będę po brudnych ulicach tego dziwnego miasta. Słońce nie pokazuje się od dłuższego czasu, żadnego radosnego promyka, który przebiłby się przez chmury pyłu nad moją głową. Powietrze nasączone odorem wysypisk śmieci podobne jest do oparów opium, hipnotyzuje, omamia, torturuje oczy obrazami ludzi. Nie ma tu nikogo, żadnej namiastki życia, po chodnikach nie wloką się cienie.

Już setny raz idę ulicą wzdłuż zrujnowanych kamienic, przybijana do podłoża niezliczoną ilością okien z wybitymi szybami, które przypominają zgasłe źrenice. Wszechobecny nieład i ciszę zalegającą w każdym kącie potęguje zupełny bezruch, nawet taniec zużytej reklamówki na ulicy byłby miłym urozmaicheniem pośród tej pustki. Nie pamiętam, czym jest wiatr przebiegający ulicami w poszukiwaniu kupki liści, którą chce rozrzucić na wszystkie strony świata. Pewien filozof powiedział: „Wszystko płynie”, chciałabym zobaczyć wyraz jego oczu, gdyby widział to, co ja. Może ten statek zwany czasem zatonał i leży teraz na ciemnym dnie oceanu. Ktoś inny powiedział, że nikt nie potrafi wskrzesić czasu; miał rację... Ja nie potrafię tego zrobić. Nigdy nie czekałam na zagładę zegarów, zawsze słyszałam tylko podszepty schizofrenicznego bliźniaka domagającego się autodestrukcji. Cały czas popadałam w alienację, ale nie przypuszczałam, że kiedyś obudzę się w miejscu tak przepelnionym pustką, o jakim zawsze marzyłam. Jednak widywanie na każdym kroku tych samych stosów gruzu już nawet mnie przytłacza. Nie mogę złapać swojej świadomości, jakbym szukała jej w wielkiej czarnej dziurze. Nie przypominam sobie, zebym gdzieś spała... jadła... Po prostu idę. Nie mam już siły, chcę się obudzić, ale szczypaniem nie wyciągnę swoich myśli z tak głębokiego koszmaru. I zaczynam walić głową w mur. Coraz szybciej. Coraz mocniej. Czuję już tylko krew zalewającą moje oczy i słyszę łomot kości uderzających w twardą przeszkodę. Zupełnie jakbym chciała przebić się na drugą stronę, do innego świata, wyrwać się stąd... I znów stoję pośród obleśnych budynków, dotykam czoła i nie czuję żadnych śladów wcześniejszego aktu szaleństwa, żadnych ran ani

wilgoci krwi. I każda podobna próba na nic, znów mijam rzędy zrujnowanych kamienic. Nagle jakaś ciemna smuga otarła się o moje oczy. Słyszę trzask. Dźwięk zaczyna krążyć między budynkami, by wedrzeć się w moje uszy i przez wieki katować echem. Ulica. Sklep. Wieżowiec. Ulica. Dom. Sklep. Ulica. Zawroty głowy, trudno złapać oddech. Wokół ta sama szara śmierć, przywidziało mi się, tu nic nie ma. Gdybym mogła otworzyć usta, krzyknęłabym za tym cieniem, ale nie pamiętam już, jak tworzyć słowa. To dziwne, chyba znów mam halucynacje... Poczerniała cegła na chodniku, a obok rozpryskana krew. Wyschnięta, musi tu być już od dawna. Hipnotyzująca czerwień nie pozwala od siebie oderwać wzroku, plamy jakby się poruszały, drżą, łączą się ze sobą w wykrzywione usta, ich tafla kształtuje się w litery, a te rodzą głoski mojego nazwiska. Upiorne kołysanie, muszę wyciąć powieki, nie mogę pozbyć się tej ciemności z moich oczu... Nie wiem, co się stało, gdzie krew? Nic nie widać, wszystko oplecione brudnym, wilgotnym prześcieradłem szarej mgły. Dotyka mojego ubrania i ciągnie gdzieś. Staram się szukać drogi rękami, czuję coś szorstkiego, twardego. Kora? Palcami wyczuwam kształty drzewa, bez liści, pąków i innych śladów życia; jest martwe i suche, jak wszystko tutaj. Powłoka przerzedza się i mogę dostrzec inne drzewa, to chyba cyprysy, rosną wzdłuż alei, na której stoję. Ciągnę bose stopy wzdłuż tej ścieżki, aż do bramy. Stoi tam niewzruszona, pokryta czasem. Na górze dwa splecione w miłosnym uścisku węży. Otwieram furtkę. Zawroty, przyćmienie myśli, ciemność, z której wylania się martwy las. Mgła już nie jest brudna, jest śnieżnobiała, wręcz fosforyzująca, kładzie się po ziemi, całując moje łydki. Znikł smog z nieba, teraz są tam tylko ciemnogrnatowe zwykłe chmury. Cyprysy, ustawione w dwóch rzędach, tworzą martwe ściany, przez które niemożliwe jest ujrzenie horyzontu. Znowu ta smuga na moich oczach. Krzyk. To człowiek! Biegnę. Mechaniczny warkot przytłacza krzyk. Nie, to raczej zwierzę. Ludzki jęk i wilczy ryk tworzą swego rodzaju muzykę dla moich uszu, które od dawna nie słyszały żadnego dźwięku. Stoję zachwycona i próbuję przebić się wzrokiem przez mgłę, by dostrzec to cudowne zjawisko. Hałas jest przepiękny. Już widzę zarys postaci oraz połyskujące czarne i szare pręgi na futrze zwierząt. Rozrywają ciało skazańca nie spiesząc się, zupełnie jakby nie czuły zapachu krwi w jego żyłach. Przez ciężkie chmury zaczynają przebijać się srebrne promienie księżyca, przeciskają się pomiędzy spróchniałymi gałęziami, tworząc osobliwe witraże. Światło pada na ten akt zbrodni. To nie zwierzęta rozszarpują człowieka, ale ubrani w szmaty kapłani z ziejącymi pustką oczami. Snop uderza ofiarę w twarz, rodzą się w niej moje oczy... Nie mogę się poruszyć, upadam bezwładnie przed ołtarzem tej katedry, zmuszona do oglądania rytuału ludzkiej tragedii. Kołysanie... ciemność...

Wyróżnienie w kategorii: Proza

Hana Matejek-Khouri

*Katolickie Liceum Ogólnokształcące
Krosno*

Kolysanka

Mróz brodził w śniegu po kolana, niczym bocian w poszukiwaniu żab. Jego młodość zastygła w dziecięcej, uśmiechniętej twarzy, a oczy, jak dwa węgielki, obserwowały śpiący świat. Z lekkością motyla malował długim, grubym i błękitnym paznokciem swoje obrazy na szybach. Swoje witraże, w których odbijał zapamiętane krajobrazy z nieba. Czarny płaszcz, jak za długi ogon, włókł się za nim, a on sam nucił pod czerwonym czubkiem nosa swoją kolysankę.

*Zaśnij, zaśnij mój świecie,
Zaśnijcie, zaśnijcie łzy.
Nie nadejdiesz nigdy lecie,
Nie nadejdą słońca dni*

Gdy tak śpiewał, z ciężkich, nocnych chmur, które toczyły się nad miastem, zaczął padać śnieg. Pierwsze miliony śnieżnych baletnic, ubranych przez Boga w białe, tiulowe sukieneczki i baletki, zbiegły po grzbiecie wiatru na dachy, parapety i ganki. Przykryły zamrożone zwierzęta i śpiące pory roku, tylko Zima siedziała spokojnie na szklanym, ogromnym tronie, którego plecy i ramiona wyrzeźbione były, przez jednego ze śpiących ludzi, w orła, który obejmuje swymi zimnymi piórami i ją, i całe miasto.

Mróz uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc zadowolenie na twarzy swojej matki i zatrzymał się na środku wąskiej, starej uliczki. Światła zdobionych latarni, które wydawały się być rozrzuconymi w popłochu, przez złodziei, diamentami, powoli gasły. On zaś podszedł do jednego z okien. Przetarł ręką swój witraż i zajrzał do środka. Był to mały pokój, z jednym drewnianym taboreciem, małym stolikiem i łóżkiem, na którym spała jakaś postać. Nie mogąc jej się przyjrzeć, wszedł do środka, a w raz z nim armia zimna, która zamieniła całe wnętrze domu w lodową pustynię, malując na jego ścianach ogromne ptaki i korony drzew, które, mógłby przysiąc, stały się lekko zielonkawe.

Uklęknął przy łóżku i bladymi, oszronionymi dłońmi odkrył kołdrę. Przyjrzał się, zaciekawiony, śpiącej dziewczynce. Dotknął dwoma palcami jej ciepłych, różowych policzków, potem czarnych rzęs i czerwonych ust, by po chwili odebrać od niej swoją dłoń i zacząć bawić się jej długimi włosami.

*Nie wstawaj nigdy
Moja, moja gwiazdko,
Nakryję cię kocem lęków,
Ale płakać,
Płakać będziesz rzadko.*

Zaśpiewał jej szeptem do ucha. Jego głos, mimo że zimny, pozbawiony smutku i miłości, był piękniejszy od ciszy i jakiegokolwiek muzyki, znanej za ziemi. Był pełen niesamowitej fantazji. Mróz podniósł się i niepewnie błędząc palcami po ścianach, wyszedł z jej pokoju.

Stał na wzgórzu, za tronem swojej matki i wraz z nią patrzył, jak wschodzi ciężkie, oblane krwią słońce, które triumfalnie wdrapało się na niebo po bitwie z księżycem. Ono zaś zaróżowiło się delikatnie, zaskoczone jego nagłą wizytą, by szybko odziać się w swoje błękity. Miasto jednak nie wstawało, zwierzęta nie topniały. Stały tak nieruchomo. Ptaki, w bezgłośnym śpiewie, wydobywały z siebie tylko jedną głuchą nutę. Lis, tuż przed norą królika, zatrzymał się. Gałęzie drzew poruszone przez wiatr, tylko w jedną stronę, nie opadały. Po chwili jednak rozległ się krzyk ciężkich drzwi i na uliczkę wyszła dziewczynka, ta sama, tylko o białych włosach, białych policzkach i granatowo-fioletowych ustach. Mróz podbiegł w jej stronę, uśmiechając się. Wyciągnął do niej rękę, zapraszając ją na wzgórze, gdzie miejsca na tronie ustąpiła jej Zima.

*Płakać, płakać,
Śmiać się, śmiać się
Z ludzi możesz zawsze.*

*Kochać, kochać,
Milczeć, milczeć
Wieczność ci rozkażę.*

Zanucił, kłaniając się jej nisko. Zanim się obejrzała, miała na sobie długą, czarną suknię, a jej skóra stała się prawie przezroczysta. Usiadła, a królewskie siedzisko – ożyło. Szklany orzeł, strzepał z piór resztki śniegu i rozprostował skrzydła. Mróz usiadł za nią i pofrunęli do krainy wiecznego lodu.

Gdy następnego dnia miasto obudziło się, na wzgórzu siedziała już Wiosna. Zwierzęta, otoczyły ją zaciekawione, a ptaki śpiewały głośno. Zaś niektórzy ludzie zebrali się wokół mieszkania dziewczynki, po której nie było śladu. Drzwi do jej pokoiku były otwarte na oścież, a na ścianach widniały wyblakłe, pozbawione żywych kolorów obrazy, przedstawiające ogromnego orła lecącego ponad lasami i dwie postacie wtulone w jego skrzydła.

Nie pora na węgrzyna

Wstawał świt, pierwsze promienie marcowego słońca sączyły się przez szczeliny zawartych okiennic. Spał jeszcze, kiedy sługa wpadł do sypialni.

– Panie! Czekają was na parterze. Nalegają, byś zszedł.

– Kto, u licha?

– Rajcy!

– Znowu? Same z nimi problemy. Powiedz im, że za moment zejdem. Naley im wina i każ czekać.

Po kwadransie zszedł do swoich gości. Andrzej Gierlicki i Tomasz Teterlik kręcili się niespokojnie.

– Nareszcie jesteście! Posłańcy przynoszą straszne nowiny! W mieście panika. Przepraszam, że pana budzimy, panie komendancie, ale musisz wiedzieć.

– Co się dzieje?– zapytał Wojciech zdeorientowany porannym zamieszaniem. Gierlicki swoim zwyczajem postąpił krok do przodu, podkreślił węża, odchrząknął i niemal krzyknął, choć starał się opanować.

– Rakoczy nadchodzi! Za sobą ma niemal pięć tysięcy zbrojnych i kilka armat. Idzie do nas z zemstą za zuchwalstwo mieszczan. Pali wszystko na swojej drodze. Najpóźniej za tydzień będzie już w Suchodole!

Portius pobrał i aż usiadł. Sługa nalał mu pełną szklanicę wina, którą pan wypił duszkiem. Odchrząknął i siłą się na spokój zapytał.

– Dlaczego dowiadujemy się o tym tak późno?

– Donieśli nam, że pułki Rakoczego przedzierały się przez Bieszczad, toteż nikt nie spodziewał się takiej ich liczby.

– Należy w takim wypadku sposobić się do obrony miasta.

Wstał z ławy, czym dał znać swoim gościom o końcu rozmowy.

Ogłoszono alarm i natychmiastowy pobór wszystkich mieszczan zdolnych do walki. W kuźniach od świtu do późnej nocy wykuwano szable, miecze i topory. Rozesłano posłańców do króla i okolicznych osad z prośbą o pomoc. Na gwałt wzmacniano baszty i blanki na murach oraz pogłębiano fosę.

Wojciech Portius wszedł do garnizonu i spojrzął po ogorzałych twarzach chłopów, którzy przyszli zapisać się na pobór.

– Tylko tyłu? – zapytał dyżurnego.

– Tak, panie komendancie. W sumie tysiąc sześciuset zdolnych nosić broń – dodał zaglądając do rejestrów. – Nie mamy co liczyć na armię koronną, hetmani odpierają Szwedów i Kozaków na północy. Król modli się za nas na Jasnej Górze. To jedyna pomoc, jakiej możemy od niego oczekiwać.

Zdyszany posłaniec wbiegł na dziedziniec i podbiegł do komendanta.

– Od strony bramy węgierskiej idzie kolumna. Powiewa nad nimi sztandar z orłem. Posiłki przybyły!

Wojciech pobiegł do bram i kazał natychmiast otworzyć wrota i wpuścić pomoc. To przybył książę Mikołaj Farnca i jego piechota chłopska. Ich czyny zdołały obrosnąć legendą po szalonych rajdach na oddziały tureckie i węgierskie pod Sanokiem i Leskiem. Na widok tych zaprawionych w boju żołnierzy w Portiusie ożyła nadzieja na zwycięstwo.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Księżę Mikołaju kochany, jaka szkoda, że nasze spotkanie przyspieszyły takie smutne okoliczności.

– Pochwalony niech będzie na wieki wieków. Witaj, Wojciechu. Mnie również smućą zaistniałe okoliczności, a i wieści mam nie lepsze. Jerzy Rakoczy nie dalej jak dwa dni temu splądrował i spalił Duklę. Najpóźniej jutro będzie u bram Krosna.

– Na Boga! Wiesz coś o jego sile? Liczbie wojska?

– Idzie na czele najwyżej trzech i pół tysiąca. Ciągnie za sobą kilka armat. Ludzie jego zmęczeni i znużeni długim marszem. Gospodar jednak zdeterminowany zniszczyć miasto.

Wojska Rakoczego pojawiły się w okolicach miasta rankiem następnego dnia. Podjazdy dotarły aż na przedmieścia Węgierskie i Krakowskie, gdzie podłożyły ogień. Spłonął również młyn. Z murów usiłowano razić podjazdy z rusznic, nie robiło to jednak wrażenia na rączych węgierskich rumakach.

Miasto zostało odcięte. Na wszystkich drogach stały węgierskie patrole, a armaty dzień i noc usiłowały rozbić mury miejskie. Po trzech dniach gospodar zarządził szturm. Piechota atakowała na trzech frontach równocześnie.

Bitwa wrzała na murach i blankach, kiedy Portius wdrapał się na wieżę kościoła farnego, by mieć dokładny wgląd na całą sytuację.

Przedmieścia zostały spalone do gołej ziemi. W murach ziało kilka wyłomów bronionych zaciekle przed węgierskim naporem. W dachach kamienic bomby zrobiły kilka dziur, wywołały nawet mały pożar, ugaszony jednak sprawnie. Sytuacja była krytyczna, Wojciech zbiegł na rynek i rozkazał odwodom księdza sposobić się do bitwy. Sam pobiegł do swojej kamienicy. Tam nakazał sługom wyjąć stary kufer, należący jeszcze do jego dziadka. Założył czarne bryczesy i koszulę. Na to założył ozdobny rodzinny kilt. Kraciasty pas należący do jego rodu od pokoleń. Wyjął pistolet i dobry szkocki pałasz, którym wykonał kilka szybkich cięć. W statecznym kupcu obudził się szkocki góral. Wojownik i dzielny obrońca.

Wybiegł do Polaków, którzy powitali kapitana gromkimi okrzykami.

– Księżu Mikołaju! Idź do kościoła i odpraw za nas mszę z procesją na mury. Proś Matkę naszego Pana o zwycięstwo. A wy, żołnierze – zwrócił się do ludzi księdza – walczycie zaciekle! Wrogów jest masa, ale nie dajcie się zastraszyć i pamiętajcie, że sprzyja nam Bóg!

Wyjął pałasz i zakreślił nim młyńca nad głową, czym dał znak do wymarszu.

Wyszli Bramą Węgierską, po potrząskanym zwodzonym moście. Węgrzy nie spodziewali się wydania im bitwy pod murami, przerzucili jednak sporo wojska naprzeciw Portiusowi i jego ludziom. Dali ognia w Polaków i rzucili się do ataku. Portius nie pozostał dłużny Madziarom i dał dwie salwy w nacierających, którzy stracili nieco animuszu.

Wpadli na siebie. Pierwszego przeciwnika Wojciech pchnął pod żebrami, drugiemu wybił szablę i ciął na odlew przez ramię. Nad miastem rozbrzmiewały dzwony. To procesja wyszła z kościoła.

Tego potrzebowali walczący. Ze zdwojoną furią uderzyli na wrogów, odpychając ich nieco. Wojciech dał znak do następnej salwy z muszkietów, po czym poprowadził swoich ludzi na przegrupowujących się żołnierzy. Węgrzy zaczęli się załamywać. Nie trzymali linii, panikowali widząc kolejnych przebitych kulą z muszkietu lub ciętych szablą kamratów walących się na ziemię.

W tłumie mignęła mu znajoma twarz. To był Jarko Firlej! Brat wojewody lubelskiego procesujący się z Krosnem od pięćdziesięciu lat. Psi syn sprzymierzył się z Turkami i zaatakował znenawidzony gród nad Wisłokiem. Wojciech przedarł się między walczącymi i dopadł Jarosława, tego zmroził widok Szkota brudnego od potu, kurzu i posoki. Portius zbił cięcie na głowę i zripostował celując w zęby przeciwnika, ten zasłonił się i zbił uderzenie. Komendant szarpnął się w bok, unikając ciosu jakiegoś Madziara. Upadł na ziemię, Jarek zamachnął się, by przyszpilić Portiusa do ziemi, kiedy ten wyjął pistolet i pociągnął za spust. Bitwa na chwilę zamarła. Wszyscy zdawali patrzeć się na postrzelonego dowódcę węgierskiego natarcia, powoli osuwającego się na ziemię.

Wojciech dźwignął się i zobaczył księdza i Matkę Boską z Krosna na murach. Widok ten dodał otuchy nie tylko jemu, ale także pozostałym krośnianom, którzy bez rozkazu ruszyli ku pierzchającemu przeciwnikowi. Kula jednej z armat trafiła prosto w dzwon kościelny, który zadźwięczał nieczysto i odpadł. Dźwięk ten oznajmił ostateczne zwycięstwo i odparcie Węgrów spod Krosna.

Do miasta weszli witani jako bohaterowie, niosąc zdobycze z obozu Rakoczego i ciągnąc za sobą dwie armaty. Wojciech Portius wjeżdżał na zdobyczym rumaku, za nim obładowani łupami wracali chłopci i mieszczanie z oddziałów broniących miasto. Po zwycięstwie na koszt Szkoła urządzono na rynku biesiadę. Zdani na siebie, z pomocą Bożą dali radę odeprzeć wroga. Jedną z armat Portius kazał przetopić na nowy dzwon, który do teraz można usłyszeć w trakcie spaceru po rynku.

Wyróżnienie w kategorii: Proza

Aleksandra Jędrzejczyk

*I Liceum Ogólnokształcące im. Marcina Kromera
Gorlice*

Imrik

Gdy nastąpiła chwila ciszy, oboje spuścili wzrok na ułamek sekundy, błędząc po czerwonym obrusie jakby rysowali drogę ucieczki przed małym zakłopotaniem. Jednak zaraz figlarne uśmiezki rozpedziły niewielkie rumieńce na ich twarzach, które wyskoczyły nieproszone na myśl o dwuznacznej puencie opowiadanej przez niego anegdoty.

– Zamknij oczy!

– Nie ma mowy! – zaprotestowała. – Nie chcę! Zresztą, ta historia jest nieprawdziwa, w bajce to było w drugą stronę.

– Nie przekonamy się, jeśli nie zamkniesz oczu – namawiał ją wciąż uśmiechając się, po czym spowaźniał na chwilę i szarmancko zadał ostatnie pytanie. – Gotowa?

– I tak w to nie wierze! Ale zgoda.

Poprawiła się na krześle, przysunęła do stolika, oparłszy splecione dłonie na blacie i zamknęła oczy, wydymając lekko karminowe usta. Wszystko w niej było piękne, wiedział to od chwili, gdy pierwszy raz ją ujrzał. Oczy, usta, brwi, długie włosy, ponętna szyja, sylwetka pełna gracji, delikatne dłonie i kobieca delikatność.

Teraz, gdy ją bliżej poznał, przekonał się, że również głos, uśmiech, osobowość i serce pasują do reszty, tworząc osobę pełną tajemnic, spontaniczną, ale skromną, jednym słowem: zjawiskową.

Nachylił się bezszelestnie i obdarował towarzyszkę całusem.

– Możesz już otworzyć oczy.

– A nie mówiłam, nic się nie stało! Nie zamieniłeś się w żabkę!

– Masz rację, nie zamieniłem się w żabę... Ale nie nazwałbym tego „niczym”.

Uśmiechnął się zwycięsko i czekał na wesoły grymas udający obrazę, który – jak przypuszczał – zaraz pośle w jego stronę. Zamiast tego już bez zakłopotania i rumieńców omiotła jego sylwetkę i zatrzymała spojrzenie na przenikliwych oczach.

Było w nich coś dziwnego. Nieokreślony kolor, zagubiony między błękitem i szarością, wyraz smutku zmieszany z marzeniami o szczęściu. Przeszło jej przez myśl, czy gdyby zatopić w nich serce, zaczęłoby bić jak oszalałe czy może zastygłoby nieruchome, opuszczone, sparaliżowane zimnym jadem.

– Jesteś okropny – syknęła z przekąsem przez lekki uśmiezek.

Wstał i podał jej z wieszaka letni płaszczyk.

– Na nas już pora.

– Tak wcześniej? – zdumiała się spoglądając na zegarek.

– To jeszcze nie koniec wieczoru – rzekł obiecująco.

– Więc gdzie idziemy?

– Na mały spacer – odpowiedział, zamykając za nią drzwi.

Na zewnątrz było ciepło, ale niesforny wiatr zrywał się gorącymi podmuchami co jakiś czas targając jej spódniczkę i długie ciemne włosy. Było bardzo przyjemnie, powietrze pachniało wilgocią.

– Nie jest ci zimno? – zadał bezsensowne pytanie, gdyż zdążył się stęsknić za jej głosem.

– Nie, jest wspaniale.

Obiecał sobie, że tego wieczora nie będzie zgrywał niepoprawnego romantyka, jednak wyobraził sobie, jak właśnie w tej chwili z nieba lecą metrowej grubości pierzyny śniegu, zza rogu wyskakuje dziadek mróz i zamienia lodowym oddechem rosę w malowniczy szron; wszystko po to, by móc ją przytulić.

– Mnie też jest bardzo... przyjemnie – uśmiechnął się wymownie.

Uśmiechnęła się tylko i przyśpieszyła nieco kroku.

Życie na ulicach zwalniało tętno, miasto układało się do snu, zalewając ulice promieniami sztucznego światła, tworząc żółte stożki czule owinięte zbierającą się mgłą.

Spacerując poruszali luźne tematy. On starał się jak najlepiej poskromić trudną sztukę bycia zabawnym, trzymając przy tym fason, chociaż to i tak nie miało najmniejszego znaczenia. Przed jej ciepłym, inteligentnym spojrzeniem nic nie mogło się ukryć, widział zresztą, że z kobiecą intuicją i tak nie wygra. Czuł się wspaniale, nie potrzebował niczego udawać, przy takiej kobiecie był tym, za kogo zawsze chciał uchodzić.

Wyczerpali ostatni temat i podkreślili go lekkim śmiechem. Ocknąwszy się spod jej uroku, zauważył, że zmierzają alejkami parku do jego najciemniejszej strony, gdzie nikt nie chadza. Minęli ostatnią latarnię, która jak oaza im pustkowiu ciemności dawała najjaśniejszy blask, starając się ostrzec, iż dalej można być zdany tylko na własne zmysły.

Mgła robiła się coraz gęstsza. Zaniepokojony rozejrzał się dookoła. Na trawie, pośrodku niskiej, zielonej wysepki zauważył czterolistną koniczynę. Wyrwał się do przodu, by zerwać szczęście i pochwalić się rzadkim okazem.

– Popatrz, to czterolistna koniczyna – podniósł ją do góry, by przyjrzeć się jej w promieniach nikłej poświaty.

– Pokaż – rzuciła z niedowierzaniem jego towarzysza. Chwyliła jego dłoń, w której trzymał zielone cudo i podniosła do światła.

Oglądała koniczynę z nieukrywanym zaciekawieniem. Przygryzła dolną wargę i spojrzała na niego wyzywająco spod zielonych listków małej rośliny.

– Osoba, która znalazła czterolistną koniczynę, ma prawo do czterech życzeń. Wypowiadając je w myślach, musi zerwać jeden listek.

– Spróbujemy?

– Pomyśl życzenie – spojrzała mu głęboko w oczy i podsunęła splecione dłonie do jego klatki piersiowej. – Tylko nie mów jakie – ostrzegła go z lekkim grymasem. I zerwij listek.

Posłał dalekie spojrzenie w gwieździste niebo nad jej głową. Powędrował wzrokiem na jaśniejący w górze księżyc w pełni i zeskoczył myślami z powrotem na ziemię. W tym momencie zauważył wylaniające się z za jej pleców gęste, ciemne opary, w których zalśniły szmaragdowe oczy...

Aleksandra Kubit

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno

Tonąc

sączy
myśli topi w kawie
drży ze strachu o swój lęk
ziębi stopy w szarym stawie
milkną w wysuszonej trawie
bez pigmentu pozostawia
w bocznej serca nawie
taka prosta
wyobraźnia jest zbyt mdła
doprawia ją niepokojem
dusza skrzypi pod myślami
jak grudniową nocą czarną
jasny śnieg pod kolanami
kiedy nachylając głowę
wyteżając ślepy wzrok
szuka w zaspach listów starych
białe włosy splótszy w kok
wiosną
otworzy się stawu toń
by poczuć to co Ofelia
cicho rankiem wpłynie doń
lecz nie spocznie na dnie wody
z trudem w piersi złapie oddech
wczułga serce znów na brzeg
patrzac z utęsknieniem w niebo
kiedy świat zasypie śnieg
gwiezdny ją obudzi pył
wznieść się chce
pozbyć się sił
frunąc niczym
Piotruś Pan
i Wendy

ciesząc się swoim obłędem
taka prosta
wyobraźnia jest zbyt mdła
i pamiętaj
jeśli
skoczysz
skoczę ja

Podróż do wnętrza serca

Bez poczucia rzeczywistości,
bez ładu i składu
chór porcelanowych lalek
szepcąc spieszy na dół.

Myli kroki stado panien
głucho stąpających
po zwilżonej rosą trawie,
wśród wiśni kwitnących.

Biegnie cicho złotą trawą,
dopada strumienia:
od westchnienia, do westchnienia,
znikają marzenia...

Milkną zadumane oczy,
z ust spierzchniętych płynie cisza.
Zmienia ciepłą skórę w papier,
gasi smutkiem serc ogniska.

Magdalena Bury

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

*II Liceum Ogólnokształcące im. Konstytucji 3 Maja
Krosno*

monolog

nie przeprasza
jedno słowo nic nie da po tym co zrobiłaś
i weź się w końcu w garść
ileż można milczeć
czasami trzeba wstać i iść, wiesz?
to nic, że nie ma tutaj ścieżki
musisz przebrnąć przez to bagno
sama je zrobiłaś, więc dlaczego tak na mnie patrzysz?
zapłać teraz za to chwilowe szczęście
tak, ma boleć!
naucz się w końcu życia
i nie udawaj, że jesteś słaba
oboje dobrze wiemy, że tak nie jest
nie, nie tutaj
dlaczego znowu to robisz?
chcesz mnie sprawdzić?
oboje wiemy, że Cię kocham
kolejne kłamstwa nic Ci nie pomogą
ja wiem, doskonale wiem, że jest trudno
boli, ale nie pomogę Ci
tym razem nie
pamiętasz jak rozmawialiśmy o dorosłości?
patrzyłaś na mnie tymi swoimi niewinnymi oczami
i zapytałaś mnie wtedy, dlaczego tego nie czujesz
nie rozklejaj się, nie pozwalam Ci
nie w tej chwili
chyba właśnie dotarłaś na szczyt
i chyba otrzymałaś odpowiedź

pytanie tylko czy będziesz wiedziała co z nią zrobić.

pożegnanie

I

gdy poczułam że chcę i mogę
i miałam siłę patrzeć w gwiazdy bez strachu
gdy mogłam rozmawiać z wiatrem bez łez
i patrzyłam w marcowe słońce
gdy nawet przyzwyczyłam się do ciemności by dotrzymywać Ci kroku
ktoś zaświecił światło

II

idę przez zaśnieżoną drogę
stawiając niby z gracją ostrożne kroki
czuję płatki śniegu na moich rzęsach
pewnie zaraz się rozpląną z czarnym tuszem
zostawią smugę na policzkach

III

a dzisiaj nawet błękit nieba wydaje się zbyt blade
i nie czuję, że warto
ostatni prześwit słońca
ostatnia radość na huśtawce
ostatnia miłość na ławce

ostatni walc po przekątnej

Patrycja Norek

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

II Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Kędzierzyn-Koźle

Ludzie z papieru

Popatrz na papierowych ludzi
żyjących w swym papierowym świecie.
Oni śpią w papierowych łóżkach
I piją papierową kawę.
Ich papierowe ciała stronią
Od papierowego ognia.
Papierowi ludzie różnią się od siebie.
Jedni są z mocnej tektury,
Inni ze starej bibuły.
Nie patrz na nich długo...
Bo wypalisz w ich papierowych duszach
Dziurę o spalonych brzegach.
Ich papierowe stoły uginają się
Pod ciężarem papierowych naczyń,
Tak jak ich dusze uginają się,
Bo są z papieru.

Być poetą...

Wszystko widzieć inaczej,
Odczuwać wszystko mocniej,
Przeżywać wszystko bardziej,
O wszystkim mówić piękniej.
Znajdować nowe rymy
Słuchać, co szepcze wiatr,
Oglądać świat od góry,
Rozbierać świat na części,
Składać wszystko w wiersze,
Cierpieć, gdy inni nie widzą,
Patrzeć, gdy reszta już nie chce,
Tęsknić za nowym natchnieniem
I czekać, czekać, czekać –
To znaczy być poetą,

Natalia Janik

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno

Słabe strony

Jestem jak małe ziarenko piasku,
jakiś w każdej chwili można rozdeptać.
Zwykły, drobny, niewinny okruszek,
który także czuje.
Czasami przypominam kartkę papieru.
Cienką, bezbronną, lekką.
Można ją zgnieść i wyrzucić,
a później rozprostować jest trudniej,
bo już nie będzie tak idealnie prosta.
Często utożsamiam się z liściem,
który szybuje – nie wiadomo gdzie – za wiatrem.
Szuka swego miejsca,
a ciągle jest przesuwany z jednego na drugie.
Identyfikuję się z domkiem z kart,
jaki może runąć w każdej chwili.
Rozsypie się i trzeba go poskładać.
Potrzeba na to dużo czasu i cierpliwości.
Ziarenko piasku, kartka papieru, liść, domek z kart –
taka jestem w chwilach złych.

Marzenia

By móc lecieć za każdym powiewem wiatru,
szybować nad przepaścią swego życia.

Nie zatrzymać się nigdy,
być jak we śnie, który nie ma końca.

Zostawić wszystkie złe nadzieje,
choć na chwilę zapomnieć o świecie,

zatracić się w tym, co się robi
i nie czekać na konsekwencje.

Wspiąć się i rosnać jak drzewo w górę.

Nie przestawać myśleć o dobrym,
złe odłożyć na później.

Spacerować w rytm oddechu.

Plątać się o struny gitary
i znaleźć w nich swój dźwięk.

Tak podążać za marzeniami,
nie dając im wytchnienia.

Justyna Pruchnicka

Nagroda ZO SBP w Krośnie

*Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej
Stalowa Wola*

Bajka dla wyobraźni

*Logika zaprowadzi Cię z punktu A do punktu B.
Wyobraźnia zaprowadzi Cię wszędzie.*

Albert Einstein

Był piękny słoneczny dzień. Siedziałam w moim ogrodzie upajając się cudownymi widokami okolicy. Od wschodu skaliste morze, od południa wodne góry, od zachodu piaszczyste lasy. Na północy zaś roztaczała się piękna, zielona pełna życiodajnej wody pustynia. Było gorąco. W powietrzu dało się wyczuć delikatną woń szarlotki z truskawkami, która właśnie gotowała się w moim piekarniku. Na którymś z drzew pięknie śpiewał maleńki słoń. Przymknęłam oczy...

Z błogiego stanu wyrwały mnie jakieś złowieszcze okrzyki Patrzę, a od strony pustyni jadą didżeje dzikiego zachodu.

– O nie – pomyślałam i zerwałam się z leżaka. Teraz było słychać tylko muzykę. Wiedziałam, że wszyscy zaraz usną i będzie zabawa na całego, a akurat tego dnia nie bolała mnie głowa, więc nie miałam ochoty na głośne chrapanie. Nie zdążyłam jednak uciec. Zanim doszłam do drzwi mojego domku z piernika na kurzej nóżce zaczęła się impreza. Po mojej lewej Zenek już chrapał, po prawej Bogdan, Gienek i Zdzisiek ziewali. Zabawa jak się patrzy... nie było wyjścia, też musiałam zacząć się bawić.

Naszą fantastyczną imprezę przerwał książę na białym krokodylu. Poszukiwał Jasia, Małgosi i siedmiu krasnoludków. Jechał wraz ze swoim towarzyszem – kotem w butach i panem kciukiem. Przejechali już skaliste morze, przepłynęli wodniste góry, przedarli się przez gęstwiny piaszczystych lasów i śmiercionośne tereny życiodajnej pustyni aż wreszcie dotarli do naszej miejscowości. To właśnie tu, według źródeł historycznych, mieli być więzieni Jaś, Małgosia i krasnoludki. Po krótkiej rozmowie z księciem odparłam, że o niczym takim nie słyszałam.

Zawiedziony książę odjechał, a ja miałam wracać do zabawy, gdy moi przyjaciele didżeje stwierdzili, że muszą już jechać na polowanie. Przygotowali swoje lassa i ruszyli. Nie chciałam jechać z nimi, więc wybrałam się na pustynię po cytryny, a że akurat był, grudzień byłam spokojna o swoje zbiory. Ku

memu zdziwieniu na pustyni nie znalazłam ani jednej cytryny. Poszłam więc ze skargą do braci miesiąc. Okazało się, że grudzień się pomylił i zamiast cytryn posadził zupełnie bezużyteczne jagody. Byłam załamana, miałam taką ochotę na gulasz z mięsa cytryny...

Żeby nie zmarnować całego dnia, poszłam w góry. Nałowiłam trochę mew, ze trzy śledzie i kilka wiewiórek. Teraz wiedziałam, że na obiad będę miała owoce morza. W drodze powrotnej spotkałam trzy świnki, które właśnie budowały swoje domki. Po dłuższej obserwacji stwierdziłam, że tylko jedna z nich buduje porządny, bo ze słomy, pozostałe dwie wybrały materiały mało trwałe, bo cegły i drewno. Jednak nie zwróciłam im uwagi tylko ruszyłam w dalszą drogę. Niedaleko placu budowy trzech świnek spotkałam starego człowieka, który kiedyś mieszkał nad morzem i sierotkę Krysię. Ucięłam sobie z nimi krótką pogawędkę, po której poszłam prosto do domu. Gdy wróciłam, ze smutkiem stwierdziłam, że moja szarlotka z truskawek nadaje się tylko do wyrzucenia, ponieważ bardzo wyrosła i była strasznie puszysta. Z ciężkim sercem wyrzuciłam ją do śmieci, po czym wyszłam na dwór, znów usiadłam na leżaku i zaczęłam przyglądać się widokom otaczającym moją okolicę. Nagle zaczął padać ciepły śnieg i właśnie wtedy się obudziłam. Okazało się, że był to pełen absurdu sen.

Katarzyna Szarek

Nagroda SMZK w Krośnie

*Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 5 im. II Armii Wojska Polskiego
Krosno*

Żółta sukienka

To była taka sama sukienka Zuzanno – żółta w czarne grochy.

Był 1 września 1939 roku – moje 16 urodziny. Specjalnie wstałam bardzo wcześnie. Założyłam moją nową sukienkę i wyszłam z domu. Chciałam, żeby wszyscy na mnie patrzyli, żeby wiedzieli, jaka jestem szczęśliwa. Skierowałam swoje kroki na lotnisko.

I wtedy to się stało... usłyszałam okropny huk. Spojrzałam w górę – samoloty. Coś mnie tknęło, zaczęłam uciekać.

Chwilę później na lotnisko spadły pierwsze bomby. Zdyszana i przerażona, w postrzępionej sukience dobiegłam do domu.

– Mamo!

– Aniu! – matka już była przy mnie. – Dziecko, gdzie ty się podziewałaś? Tak się martwiłam.

– Mamo... bomby

Matka nic nie odpowiedziała. Cały dzień spędziłyśmy razem domu, przeklinając Niemców.

Czekałyśmy na ojca.

Nie przyszedł ani tego dnia, ani następnego.

Kiedy dowiedziałyśmy się, że od bomb spłonęły zakłady „Wudeta”, straciłam nadzieję.

Parę dni później przyszedł telegram: „Z żalem zawiadamiamy...”

Nigdy nie zapomnę krzyku mojej matki, zanim zemdlą i upadła na podłogę.

8 września wieczorem Niemcy zajęli Krosno.

Rozpoczęły się lata terroru.

Zbrodniom ludobójstwa nie było końca: 8 – Zręcin, 9 – Boiska, 11 – Besko – a to przecież zaledwie pierwszy miesiąc.

Musiałam porzucić marzenia o studiach medycznych i rozpocząć pracę w sklepie.

Kiedy w za dużym o dwa numery zielonym fartuchu stemplowałam klientom książeczki żywnościowe i podpowiadałam im, jak zrobić z kalafiora i niecałych 30 g bekonu pożywny obiad dla pięciu osób, myślałam, że nic ciekawego mnie już nie spotka. Moje życie z winy Adolfa Hitlera leżało w gruzach.

W lutym 1942 roku gestapowcy w parku na Zawodziu rozstrzelali 11 osób, w tym Olę – moją najlepszą przyjaciółkę.
Nie płakałam. Już nic potrafiłam. Okrucieństwo tych ludzi mnie przerosło. Nie starczało mi łez.

Kiedy już myślałam, że nic nie ma sensu, spotkałam go.

Wpadł na mnie, kiedy wychodziłam ze sklepu.

– Ej mała, patrz, gdzie łazisz.

Odwrociłam się. Patrzył na mnie, a ja patrzyłam na niego.

Miał ciemne, kręcone włosy i duże, zielone oczy.

Nigdy nie udało mi się przypomnieć, co się później działo. Próbowалам, ale widziałam tylko białą plamę.

Wiem tyle, że nagle znaleźliśmy się w pobliżu Wisłoka, spacerowaliśmy i dużo rozmawialiśmy.

Spotykaliśmy się jeszcze wiele razy, a w 1943 roku mi to wyznał.

– Nie powinniśmy się spotykać, Aniu. Nie chcę Cię skrzywdzić.

– Skrzywdzić? Nie potrafiłbyś skrzywdzić muchy.

– Jestem w AK.

Zaniemówiłam.

– Och, Aniu. Wybacz. Wybacz, że nie powiedziałem Ci wcześniej. Jednak musiałem Ci to wyznać. Zanim... zanim odejdę.

– Odejdiesz?

– Pojutrze muszę już być w Bratkówce. A potem? Kto wie, co przyjdzie mi robić.

Milczeliśmy dłuższą chwilę. Później odwrócił się, chciał odejść, ale złapałam go za rękę i pocałowałam.

To była najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Poczułam w sobie taką siłę, że mogłabym udusić Hitlera jedną ręką.

Dziś już wiem, po co miał być w Bratkówce.

AK dokonało napadu na zarządzany przez Niemców dwór.

Potem słuch o nim zaginął.

Czekałam, ale musiałam też żyć dalej.

11 września 1944 roku po pięcioletniej niewoli, Krosno znów było wolne. Parę miesięcy później wojna się skończyła.

– A Ty nigdy więcej go nie spotkałaś?

– Ależ skąd, kochanie Spotkałam. Przeżył i odnalazł mnie. Przez te lata tęsknił za mną tak bardzo, jak ja za nim. I kochał mnie tak samo mocno...

– Babciu... kim on był?

– To... Andrzej.

– Andrzej? Dziadek Andrzej?

– Tak, kochanie. Jak widzisz, mimo całego swego okrucieństwa wojna dała nam także dobre rzeczy. Dzięki niej spotkałam dziadka, urodziła się twoja mama, a wiele lat później Ty. Może wykorzystasz to w swoim wypracowaniu. Ale ja Cię tu zanudzam, a czy Ty nie miałaś przypadkiem gdzieś iść?

– Tak, babciu. Umówiłam się w „Sokole”... z Andrzejem.

Spis treści

Gabriela Izowit	Niezwykła przyjaźń	7
Katarzyna Szepelak	Z drogi	11
Joanna Hanus	Jesienne lato	14
Mateusz Urban	List lekko naderwany	17
Mateusz Urban	Widziałem siebie (w lustrze)	18
Karolina Kargol	Statyw bez nogi	20
Karolina Kargol	Studnia	21
Jan Kluza	Kochanie	22
Jan Kluza	Wstęp do rozbioru	22
Monika Masaj	Demencja	23
Hana Matejek-Khoury	Kołysanka	25
Szymon Barabasz	Nie pora na węgrzyna	27
Aleksandra Jędrzejczyk	Imrik	31
Aleksandra Kubit	Tonąc	34
Aleksandra Kubit	Podróż do wnętrza serca	35
Magdalena Bury	monolog	36
Magdalena Bury	pożegnanie	37
Patrycja Norek	Ludzie z papieru	38
Patrycja Norek	Być poetą... ..	39
Natalia Janik	Słabe strony	40
Natalia Janik	Marzenia	41
Justyna Pruchnicka	Bajka dla wyobraźni	42
Katarzyna Szarek	Żółta sukienka	44

Wydawca:

Krośnieńska Biblioteka Publiczna

ul. Wojska Polskiego 41
38-400 Krosno
tel.: 432 13 70, 432 13 56, 432 52 35
fax: 436 88 82
<http://www.kbp.krosno.pl>
e-mail: biblioteka@kbp.krosno.pl



**Krośnieńska
Biblioteka
Publiczna**